Rok II. Lwów, sobota 2. maja 1908. Nr. 390.

1 cent — GONIEC POLSKI — 2 hal.

Wychodzi codziennie o g. 12 w południe.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE: miesięcznie . . . . . . 50 h; „ z dostawą do domu 1 K; numer pojedynczy . . 2 h

NA PROWINCYI: mies. z przes. poczt. . . 1 K; kwartalnie . . . . . . 3 K; numer pojedynczy . . . 4 h

NR. TELEFONU: 982. Zagranicą 2 franki miesięcznie z przesyłką pocztową. Sprzedaż pojedynczych numerów ul. Sienkiewicza 11.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem. | Redakcya i Administracya Lwów, Podwale 7 | Drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu. Najmniejsze ogłoszen e 40 halerzy.

W rocznicę 3-go Maja.

Przeszłości nasza! O, przeszłości święta!
Na nieskalanej ułożona tarczy!
Ani cię wrogie nie zadławią pęta,
Ani wyrzutem serce nie obarczy,
Boś od lemiesza po brzeszczot pałasza,
Jasna i czysta — o przeszłości nasza!

My możemy śmiało patrzeć po za siebie
I w twarz to głosić narodom i ludom,
Bo nie idziemy o proszonym chlebie,
Aby nieznanym bałwochwalić cudom!
My — to, co przyszłość stawia na ołtarzach
Mieliśmy dawno... I jest w relikwiarzach!

My — dla tych świtów, co się jutro niecą,
Niesiem prócz dzisiaj, przedlatosie znicze,
Co dotąd jeszcze z pod popiołów świecą
I zorzom mają podobne oblicze
I niech się urna popiołów otworzy
Wstaną jak żywy duch i płomień zorzy!

I pójdą światem na świt i na dolę,
Na wszystkie serca! A każde odgadnie,
Że wiek niedoli noszą na swem czole...
Że jeśli na nie jaka łza upadnie
To jeszcze jaśniej będą świecić one,
Bo z łez i bólu i męki zrodzone!

My możem śmiało patrzeć po za siebie,
I oko w oko, i nie cofnąć kroku —
Nawet tym bogom, co na naszem niebie
Mają z rannego zjawić się obłoku —
Nawet tym bogom w odwet na pytanie
Krzyże ukazać przy starym kurhanie!

A choćby kurhan zwalili grobowy
Do grudek szczerku, po iłów caliznę,
To jeszcze wstanie jeden dzień majowy
I całą w sobie podźwignie Ojczyznę!
A ta się żadnych gromów nie ulęknie,
Ale u mogił zasłużonych klęknie!

I będzie wtedy od tych mogił świtać
I już nie zgaśnie, ale pójdzie krajem,
Bo lud, co umie na mogiłach czytać,
Chaty i serca roztworzy ściężajem!
I tam, gdzie szkaplerz kładnie na zgrzebnicę,
Z Przeszłości świętej weźmie tę — Rocznicę!

El.

*

W naszem życiu państwowem mieliśmy wiele potężnych, wspaniałych tryumfów, a pamięć ich nietylko że jest droga sercu naszemu, ale wlewa nadzieję i otuchę w tych, co wierzą, że przyjdzie czas sprawiedliwości, że dziś gnieceni siłą brutalną, powstaniemy jutro z długiego letargu i nowe rozpoczniemy życie. Rozpacz może się chwytać tylko tych, co dźwigając kajdany nie mają żadnych jasnych chwil za sobą, — kto je posiada, temu pamięć ich łagodzi cierpienia, ten w przykrem swem położeniu widzi tylką zmiennośc losów, ten koronę cierniową niewoli ubiera w klejnoty ze skarbca wspomnień, a wtedy i rany go mniej bolą i rodzi się w nim, jeżeli nie pewność, to przynajmniej nadzieja, że, jak jedna fala losu w toń go pogrążyła, tak druga na brzeg go wyniesie.

Naród, mający w dziejach swoicą

Bohaterski czyn czeladnika kominiarskiego.



Grunwald i Kircholm, Obertyn i Orszę, Chocim i Beresteczko, naród, mogący nawet w początkach państwowego rozkładu zdobyć się na wyprawę wiedeńską, która po całym globie rozsławiła jego imię, — posiada już ową skarbnicę klejnotów, z której ma co czerpać w chwili upadku i zwątpienia. Ale któryż naród nie ma tryumfów wojennych na kartach swych dziejów? Tryumfy te to najczęściej przewaga liczebna siły nad siłą, to często skutek lepszej organizacyi, lepszej broni, talentu dowódców, korzystnego terenu walki, a czasami dzieło prostego przypadku, rozstrzygającego w chwili stanowczej o losie walczących.

Nie lekceważąc siły fizycznej, rozumiejąc dobrze jej doniosłe znaczenie, pracując usilnie, jak to teraz czynimy, nad rozwijaniem jej wśród zastępów młodzieży, bo daje oa odporność i tworzy cenny materyał dla wypełnienia programu przyszłości, — popełnilibyśmy przecież błąd wielki, gdybyśmy tryumfy siły fizycznej na kartach dziejów naszych stawiali wyżej nad zwycięstwa ducha narodowego. Owszem, jeżeli zgadzamy się z poetą, że „narodu duch zatruty to dopiero bolów ból", to musimy logicznie uznać, że zdrowy duch narodu, to dopiero czynów czyn, to dopiero chwała chwał, że zwycięstwa tego ducha to najcenniejsze klejnoty w tej skarbnicy, w której spoczywają miecze Grunwaldów.

Zwycięstw takich mieliśmy dosyć, a dwa z nich największe — to Unia Polski z Litwą i Konstytucya 3 maja. Napozór pierwsza z nich przytłacza drugą swą wielkością. Unia stworzyła wielkie państwo, rozszerzyła olbrzymio granice Polski, przyniosła jej bogactwo, siłę, potęgę, mogła cały wschód Europy podbić państwowo i cywilizacyjnie. Konstytucya zaś 3-go maja nie przyniosła narodowi żadnych realnych korzyści, a nawet o parę godzin dziejowych przyśpieszyła zupełny upadek jego niepodległości. A jednak pamięć jej czcimy jak świętość, a jednak uczyniliśmy z niej relikwię, której stawiamy ołtarze w sercach naszych, a jednak w każdą jej rocznicą, gdzie nam tylko wolno, zbieramy się, ażeby wspólnie wyjąć ten relikwiarz, z nabożnem wzruszeniem schylić przed nim czoła nasze i dotknąć go pokornie usty spragnionemi napoju wolności.

Dlaczego? Bo jeżeli już wogóle tryumf moralny jest wyższy, niż tryumf siły fizycznej, to ze zwycięstw moralnych tak człowieka, jak narodu, najwspanialszem jest zwycięstwo odniesione nad samym sobą, nad swojemi wadami.

A takiem właśnie zwycięstwem, wyjątkowem w dziejach narodów, była Konstytucya 3 go maja. Co więcej, była ona najszczytniejszym wyrazem zaparcia się, ofiarności ducha obywatelskiego, bo stan szlachecki, który jedyny w Rzeczypospolitej znaczył i rządził, dobrowolnie, bez przymusu z góry lub z dołu, z własnej inicyatywy, zrzekał się części swych przywilejów, obalał prawa, które przez całe wieki uważał za „źrenicę swej wolności", wzmacniał z własną stratą władzę królewską, wyciągał ręce do mieszczan, stawiał pierwszy krok ku poprawie doli ludu, — a czynił to wszystko z miłości ku dobru ogólnemu, „*ut sit bene Patriae*", ażeby dobrze było ojczyźnie.

Więc korzystajmy z nauki historyi. Starajmy się, ażeby i tu wśród nas nastał nasz dzień 3 go maja! Złych i krótkowidzących usuńmy precz, a dobrzy obywatele, jakichkolwiek biliby zapatrywań, niech się zjednoczą dla dobra przyszłości, niech osiągną choć w głównych punktach porozumienie, ażeby mogli podobnie, jak twórcy Konstytucyi, śmiało o sobie powiedzieć, że „dobro powszechne cenili drożej nad życie i szczęśliwość osobistą, że mimo przeszkód, które w nich namiętności sprawować mogły, pragnęli na błogosławieństwo współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć".

Co dzień niesie?

Jeszcze parlament się nie zebrał, a już kruki nad nim kraczą, że zostanie rozwiązany, a rząd albo wprowadzi absolutyzm na podstawie § 14. albo rozpisze nowe wybory. Powodów do tego ma być dużo, ale właściwy i może jedyny jest ten, że parlament nie potrafi rozwiązać kwestyi narodowościowych, a to ani czesko-niemieckiego sporu, ani polsko-ruskiego, a kwestye te, zwłaszcza pierwsza są na razie najważniejsze.

Że parlament do rozwiązania spraw narodowościowych jest niezdolny, jest dla nas zupełnie jasnem. Jakżeż bowiem mogą posłowie z Galicyi rozstrzygać kwestyę, jak mają mówić i pisać mieszkańcy Czech, kiedy ani tam nie żyją, ani wzajemnego stosunku Niemców i Czechów i ich potrzeb narodowych nie znają, a z drugiej strony jak może poseł z Tyrolu albo ze Styryi przypisywać nam, ile mamy zakładać szkół ruskich, kiedy może niedawno dopiero dowiedział się, że istnieją na świecie Rusini.

Pierwszy więc powód, dla którego parlament spraw narodowościowych, które są czysto krajowemi, rozwiązać nie może, jest nieznajomość u olbrzymiej większości posłów, panujących w Galicyi i Czechach stosunków, które tylko na podstawie dziejowego obok siebie współżycia uregulować można.

Drugi powód to stronniczość z jaką wszyscy Niemcy w parlamencie — a jest ich większość — ocenialiby żądania Czechów i Polaków, których nienawidzą, wobec czego ani Polacy ani Czesi nie zgodzą się, aby im ich wrogowie przypisywali, jak na swojej ziemi żyć i mówić mają. Obeszliśmy się bez nauczycieli tyle wieków i zgoda była między Polakami i Rusinami, a skoro tylko rząd austryacki zaczął się mięszać między nas to wyhodował noże i rewolwery hajdamackie.

Jeszcze może i dałoby się wszystkie te trudności choć w części usunąć, gdyby nie stronnictwo socyalistyczne. Dla socyalistów narodowość jest niczem i oni się jej wyparli, chcieliby zatem także, aby i Polacy swych praw narodowych się zrzekli dla zadowolenia sprzymierzeńców socyalistycznych, hajdamaków, i niemi parlamentu nie zajmowali, a natomiast, aby ciągle tylko obra

Ogniowa próba.

Nowelka.

(Z niemieckiego tłómaczyła Z. S.)

Żegnając się z nią, już przy drzwiach zatrzymał w swej dłoni jej maleńką rączkę i szepnął tak cicho, że nikt, prócz niej słyszeć nie mógł:

— A więc wieczorem, w teatrze, droga moja! I cóż, czy w końcu usłyszę to upragnione „tak"?

I od wczoraj dźwięczał jej ciągle w uszach jego głos, wymawiający te słowa; czuła na sobie namiętne, niepokojące spojrzenie.

— Nie, nie — powtarzała sobie — nie chcę go więcej widzieć! Zaraz napiszę do niego, tak, zaraz...

Na poczcę było zapóźno. Grudniowy dzień był tak pochmurny, że pani Laura Petersen już o 3-ej kazała w swoim buduarze pozapalać lampy. Przyćmione, żółtawe światło padało na drobną, białą twarzyczkę i wielkie ciemne oczy, w których łezki świeciły. Była to twarzyczka więcej dziewczęcia niż młodej kobiety, z wyrazem prawdziwie dziecięcej niezaradności w załzawionych oczach. Co chwila rzucają one niespokojne spojrzenie na ulicę i na teatr przy Ringu, który ztąd można było widzieć.

O tej porze Artur jest zawsze w Café de France. Do rozpoczęcia widowiska zostanie pewnie w kawiarni. Czyta gazetę, swoją wczorajszą krytykę. A gdyby tak przez Rózię posłać list do niego? Tak, tak będzie najlepiej.

Zadzwoniła.

— Proszę cię, Róziu, zaniesiesz list...

Zająknęła się. Nie, to wcale nie uchodzi. Rózia nie powinna wiedzieć, że jej pani listy do p. Artura Windlera posyła.

— Nie potrzebuję cię już, Róziu, rozmyśliłam się inaczej.

Zejdzie sama na ulicę i posłańcowi list odda. Jeżeli Artura niema w kawiarni, z pewnością będą tam wiedzieli, gdzie go szukać. Przecież cały Wiedeń zna ulubionego krytyka jednej z najbardziej poczytnych gazet.

Zanim noc nadejdzie, musi położyć koniec tej niebezpiecznej grze, w którą się sama wplątała.

Przez okno widzi fasadę teatru, oświeconą trzema wysokiemi latarniami. Tam, dziś, wieczorem ma wypowiedzieć: ostatnie słowo!

Bilety na przedstawienie Offenbacha: „Opowieści Hoffmana" leżą od wczoraj na kominku.

Inżynier Piotr Peterson zdobył je z wielkim trudem i z tryumfem żoneczce przyniósł.

— Patrz, Lorciu, co ci przyniosłem — mówił zadowolony — narzekasz zawsze, że tak rzadko chodzimy do teatru, że nigdy na premiery o miejsca się nie postaram. No, choć raz udało mi się zrobić tobie przyjemność. Cóż cieszysz się?

Jak obdarowane dziecko, klasnęła z uciechy w rączki i mile spojrzała na poważnego męża, który żartował, że nie wie tylko, czy to stosowna sztuka dla jego niedorosłej Lorci.

— Do teatru pójść muszę — myślała — Cóżby Piotr powiedział, gdybym chciała w domu zostać? I cóżby to pomogło? Jutro Artur przyszedłby z pewnością, i znów byłoby to samo. Najlepiej napiszę mu to, co mam powiedzieć. Co on sobie myśli? Jakże ja w teatrze mogę o tem mówić? On jest widocznie pewny, że powiem: tak, a to się prędko wypowiada i Piotr nicby nie usłyszał. Nie, potrzebuję więcej czasu, bo Artur się tem nie zadowolni. Jak mogłam zajść tak daleko? Ale cóżem ja temu winna? Piotr jest winien wszystkiemu, tak Piotr. Dlaczego zostawia mnie zawsze samą? Mogłabym doprawdy siedzieć dotąd spokojnie u ojca, w Wolfstetten. Tam było nawet weselej. Ale napiszę, że nie, nie, nie. Do niego pójść? Szalony! nigdy, nigdy!... A gdybym go kochała? Czy ja wiem? Ale gdyby.... nie, tem więcej wtedy, nie, ja chcę uczciwą pozostać!

Z silnem postanowieniem bierze pióro do ręki.

— Kochany przyjacielu — zaczyna. — Zatrzymuje się, powstaje i drze arkusik na drobne kawałeczki.

— Po co to wszystko? Sama stanowczo powiem mu... Boże, gdyby Piotr wiedział, jakżeby się zmartwił... Nie, dziś wszystko skończyć się musi. Powiem wyraźnie, że zanadto szanuję i kocham mego męża...

Przymknęła oczy i przypomniała sobie jak przed dwoma laty sama wyznała to Piotrowi. Jakżeż to było? Przez całe lato inżynier Petersen był codziennym gościem w Wolfstetten, gdzie pracował nad urządzeniem cukrowni. Po obiedzie grywał z panem domu w taroka, z Lorcią i młodszą jej siostrzyczką, Franią, odbywał dalekie spacery po rozległych lasach i łąkach. „Nieoceniony człowiek, ten Petersen!" — mawiał często pan Wolfstetten. — Frania prześladowała często siostrzyczkę „cukrowym człowiekiem", ale żadna nie pomyślała nawet, żeby tego poważnego inżyniera, liczącego tyle lat wieku, co one obie, mogła naprawdę zająć Lorcia. Przecież on

dowano nad klasowemi, żądaniami partyi socyalistycznej, jakgdyby poza grupą socyalistów świat nie istniał.

Otóż ten stronniczy punkt widzenia Niemców, oraz klasowy, partyjny interes socyalistów jest powodem dlaczego ani Czesi, ani Polacy nie wierzą w sprawiedliwe rozwiązanie kwestyi narodowościowej w parlamencie i tego rozwiązania parlamentowi nie powierzą.

Z powodu więc tej niezdolności do rozwiązania kwestyi narodowościowych parlament jest chory i na tę chorobę zdaje się umrze. Ocalić go może tylko jedno, a mianowicie to, że stosunki krajowe odda się do uregulowauia krajom, a więc że sprawy narodowościowe rozstrzygną sejmy. Spór czesko-niemiecki i polsko-ruski tylko Galicyi i Czech dotyczy, więc te kraje niech go rozwiążą.

Parlament nie jest na to tak drogo opłacany, aby czas tracił na tem, na czem się nie zna, ale aby rozstrzygał sprawy państwa, a sejmom pozostawił sprawy krajowe, do których w pierwszym rzędzie sprawy narodowościowe należą.

Bo tylko przez przeniesienie kwestyi narodowościowych z parlamentu do sejmów — uzdrowi się parlament, inaczej szkoda dyet dla posłów, wysłanych do Wiednia.

U nas i na świecie.

W sytuacyi parlamentarnej, która groziła rządowi krytycznymi następstwami, zaszła niespodzianie zmiana skutkiem nagłej śmierci

niemieckiego ministra roda.a Peschki.

Minister w czwartek brał jeszcze udział w konferencyach z ministrami i mężami zaufania stronnictw niemieckich, poczem udał się na kolacyę, skąd wrócił o 12 w nocy do mieszkania. Po przyjściu do domu, udał się do miejsca ustępowego. Służąca, spostrzegłszy, że minister dłuższy czas nie wychodzi stamtąd, podeszła pod drzwi i usłyszała rzężenie. Otworzyła drzwi i spostrzegła, że minister już był trupem. Stało się to po północy. Śmierć nastąpiła wskutek ataku apoplektycznego.

Trudno w obecnej chwili przewidzieć, jakie następstwa polityczne pociągnie za sobą opróżnienie stanowiska niemieckiego ministra rodaka. W każdym razie, po stronie czeskiej musi nastąpić wytrzeźwienie i wyklarowanie zmąconych stosunków, br. Beck bowiem postanowił we wtorek

podać się do dymisyi,

jeżeli w poniedziałek nie będzie miał pewności, że podwyższony kontyngent rekrutów obrony krajowej i uzyska w Izbie poselskiej kwalifikowaną większość. Z uwagi na wielkie usługi, jakie sprawie czeskiej i interesom czeskim oddawał dotychczas gabinet br. Becka, należy przypuszczać, że bardziej roztropni politycy czescy zgodzą się na to, aby spraw językowych nie rozdmuchiwać aż do rozmiarów wielkiego zatargu i umożliwić w ten sposób br. Beckowi pozostanie i nadal na stanowisku.

W sferach politycznych i finansowych niemieckich, wielkie wrażenie wywołała informacya urzędowa, że w najbliższych 5 latach rzesza niemiecka będzie zmuszona zaciągnąć

jeszcze jeden miliard marek pożyczki

państwowych. W ten sposób rzesza niemiecka będzie miała za 3 do 4 lata przeszło pięć miliardów marek długów. Dzienniki stwierdzają, że tego rodzaju olbrzymi ciężar finansowy musi doprowadzić do zupełnego bankructwa skarbu niemieckiego. Obywatele niemieccy może teraz nareszcie poczują na własnej skórze, do czego prowadzi całe państwo polityka pruska z jej hazardami w rodzaju hec antipolskich, pochłaniających rokrocznie miliony.

Skutkiem bezprawnego rozwiązania przez rząd rosyjski

kapituły wileńskiej

nastąpiło w stosunkach między Petersburgiem a Kuryą papieską takie naprężenie, że mówiono w ostatnich dniach o możliwości zerwania stosunków. Obecnie, jak słychać, zatarg został załagodzony. Kurya rzymska zgodziła się na zamianowanie nowego biskupa wileńskiego na miejsce bar. Roopa. Zostanie zamianowany biskup płocki Wnukowski.

Wbrew zaprzeczeniom urzędowym, pisma francuskie przynoszą wiadomość z Lizbony, stwierdzające z całą stanowczością, że

obawiają się tam o życie króla Manuela

z powodu wykrycia spisku na niego. Króla chciano zamordować w podobny sposób, jak zamordowano jego ojca i brata. Zamachu miano dokonać w chwili przejazdu króla przez ulice do gmachu parlamentu, gdzie król chciał uroczyście otworzyć Kortezy. Obecnie odbywają się aresztowania, a władze nie dowierzają nawet wojsku, gdyż sprowadzają oddziały wojsk z prowincyi. Potwierdza się również wiadomość, że król postanowił rozwiązać Kortezy, gdyby republikanie dopuścili się jakiejkolwiek prowokacyi. Prasa republikańska przemawia w tonie bardzo podrażnionym i żąda, aby zaniechano prześladowań i śledztw, i przypomina królowi los ojca i brata.

Program obchodu 3-go Maja we Lwowie.

Sobota, 2. maja. Uroczysty wieczór w sali ratuszowej, początek o godzinie 7; zagai wieczór przemówienie poety Jana Kasprowicza. Rzecz o Konstytucyi 3 Maja wygłosi prof. dr. Bronisław Dembiński. Resztę programu wypełnią produkcye choralne i deklamacye pani Wandy Siemaszkowej.

Niedziela 3 maja. Godz. 5 rano zebranie pod Kopcem; godz. 5 i pół rano po-

---

nigdy nie powiedział jednego słowa więcej nad to co było koniecznem. Nadzwyczaj zdolny i pracowity — mówił ojciec — tak, ale i równie nudny, zadecydowały dziewczęta.

Fabryka została ukończoną na tydzień przed oznaczonym terminem, maszyny były wszystkie w ruchu. Nazajutrz, po śniadaniu, Petersen miał odjechać do Wiednia, a ztamtąd do Kijowa, gdzie go podobna robota czekała.

Na pożegnanie pan Wolfstetten urządził polowanie, na które zaprosił wszystkich sąsiadów z okolicy.

Lorcia, Frania i inżynier jechali wysokim brekiem. Przez drogę Lorcia zrobiła spostrzeżenie, że jej się p. Petersen bardzo podoba. Ma takie piękne, rozumne oczy. W tej chwili spoczywają na niej i zdają się jej tak wiele mówić. Ale dlaczegóż nie mówi lepiej ustami, ukrytemi pod miękkim blond wąsem? Trzeba go ośmielić. Może to niewłaściwe, ale jeżeli ktoś tak uparcie milczy...

— Jaka to szkoda, panie Petersen, że nas pan chcesz już opuścić. Mnie się zdaje, jakby to.. jakby nam... dopiero teraz było razem dobrze... t. j. nam we troje... nieprawdaż Franiu?

Frania kiwnęła główką potakująco.

— Skończyłem już robotę — odpowiada p. Petersen.

A Lorci się zdaje, że głos mu zadrżał.

— No, to i cóż? i tak mógłbyś pan jeszcze trochę pozostać, dla odpoczynku.

— Nowa praca odwołuje mnie ztąd.

— I pewnie pan się z tego bardzo cieszy?

— Nie, panno Lorciu — pierwszy raz tak ją nazwał. — Wcale się nie cieszę.

Wypowiedział tych kilka słów takim miękkim, do serca przemawiającym głosem.

— Ale niedługo pan znów przyjedziesz do nas... do ojca.. O, pan już należysz do nas.

— Czy naprawdę? panno Lorciu... — zaczął wzruszony inżynier, przyczem schwycił obie rączki dziewczęcia. Nie dokończył jeszcze zaczętego zdania, kiedy silne wstrząśnienie zrzuciło go z siedzenia i Lorcia znalazła się w jego objęciu. Młody płochliwy koń zląkł się nagromadzonej sterty białych kamieni i skoczył w bok. Jednocześnie z pobliskiego lasu odezwały się strzały i teraz nie było już siły, któraby powstrzymała szalone zwierzę. Koń, jak błyskawica, biegł po spadzistej drodze, a lekki brek zeskakiwał z kamienia na kamień, grożąc co chwila przewróceniem. Stangretowi lejce z rąk wypadły. Głośno klął i krzyczał na konia, czem go jeszcze bardziej przestraszał.

Lorcia z szeroko otwartemi oczami, bez ruchu, trzymała się instynktownie krawędzi siedzenia. Frania wstała i już już miała wyskoczyć, kiedy wtem Persen schwycił ją za ramię, pchnął prawie ze złością i krzyknął grzmiącym, rozkazującym głosem: Siedzieć i nie ruszać się! Stangret, do reszty straciwszy przytomność, zeskoczył w rów i leżał tam, jęcząc. Zanim Lorcia zdążyła zrozumieć, co zamierza czynić, Petersen wdrapał się na kozioł, zsunął się potem z niego i jednym susem był już na grzbiecie pędzącego konia. Żelaznemi rękami trzymał się uprzęży, schylił się nieco i pięścią, jak młotem, uderzył konia ponad uszami w głowę. Zwierzę odurzone, zachwiało się i upadło na przednie nogi.

Brek, lekko uszkodzony, zachwiał się, ale się nie przewrócił. W mgnieniu oka Petersen był już przy drzwiczkach i wyciągał ramiona, żeby pochwycić obie dziewczynki. Krew broczyła mu z prawej ręki. Niezdolna wymówić słowa, stała Lorcia i błyszczącemi szczęściem oczyma patrzała w jego oczy. Więcej nic nie pamięta... O nie — pamięta dobrze, że wyskakując z breku, przytuliła się do jego piersi, że obie rączki zarzuciła mu na szyję, i że na wpół płacząc, na wpół śmiejąc się, wołała: „Drogi, drogi Piotrze, kocham cię, kocham, kocham!“ I że tam wobec Frani, w biały dzień, na gościńcu, pocałowała go w same usta. Potem osunęła się i pocałowała jego zakrwawioną rękę i ze wzruszenia nie wiedziała co począć, żeby tę krew zatrzymać. Dopiero Frania pobiegła do rowu, umaczała chusteczkę, a obwiązawszy rękę inżyniera, odezwała się z komiczną powagą: „Przypuszczam, że to należy nazwać zaręczynami“. Petersen, śmiejąc się, uściskał broniącą się Franię, i jeszcze tego wieczora obchodzono zaręczyny Lorci z panem Piotrem Petersenem.

W owej decydującej chwili kochała go całą duszą, wtedy — no, i teraz także kochała tego, na oko surowego, pozytywnego człowieka, bo posiadał wszystkie przymioty, które ona najbardziej podziwiała w mężczyźnie. Siłę, odwagę, serce do wielkich czynów zdolne. Nie był tak interesującym, jak wielu bohaterów czytanych przez nią romansów, ale był w całem tego słowa znaczeniu: człowiekiem.

Od dwóch lat blisko zamieszkali w Wiedniu gdzie Petersen zdobył bardzo poważne stanowisko, ale wiele rzeczy zupełnie inaczej się ułożyło, niż sobie Lorcia wyobrażała. Nie była przecież zbyt wymagającą, nie myślała ani częstych balach, ani o świetnych przyjęciach, ale mając lat 19 i będąc tak piękną, jak ona, miałoby się nieraz ochotę

budka po ulicach miasta odegrana przez muzykę narodową i kapelę Czwartaków; godz. 9 rano uroczyste nabożeństwo w kościele archikatedralnym, które odprawi ks. arcybiskup Bilczewski, a kazanie wygłosi ks. dr. Ciemniewski; godz. 11 rano Msza polowa na boisku sokolem, którą odprawi ks. biskup Bandurski, kazanie wygłosi ks. dr. Dziędzielewicz; godz. 12 pochód uroczysty ulicą Łyczakowską, Czarnieckiego, pl. Bernardyńskim i Halickim pod pomnik Mickiewicza; godz. 3 popoł. zabawa ludowa pod Kopcem z programem następującym: ćwiczenia Sokołów lancami, chór, przemówienie dr. Br. Dulęby, przedstawienie amatorskie Tow. im. Bartosza Głowackiego z „Kościuszki pod Racławicami“, kapela Czwartaków, wieczorem palenie stosów pod Kopcem.

W razie ulewnego deszczu msza polowa i zabawa ludowa nie odbędą się; natomiast odprawi się o godzinie 11 nabożeństwo w Kościele Klarysek, a o godz. 5 odbędzie się przedstawienie amatorskie w sali „Gwiazdy“.

*

Komitet obchodu rocznicy Konstytucyi 3-Maja wzywa ogół polski naszego miasta do zjednoczenia się w uczczeniu tego wiekopomnego święta narodowego. Przypominając zarazem, że dzień ten jest także dniem „Szkoły ludowej“, która w znacznej części ucieleśnia przekazane nam przez twórców Konstytucyi ideały, komitet apeluje do ogółu polskiego do wzięcia udziału w iluminacyi kartkowej. Dochód z rozsprzedaży nalepek przeznaczony zostanie na „Szkoły dorosłych analfabetów“.

*

Biuro komitetu obchodu znajduje się przy Placu Maryackim l. 7. i urzęduje od godz. 3—7 popołudniu. Nalepki T. S. L. i bilety wstępu na wieczór w ratuszu są do nabycia w biurze komitetu.

*

Sprzedaż kokardek o barwach narodowych dla wszystkich, biorących udział w obchodzie, powierzył komitet obchodu członkom T. S. L., którzy sprzedawać je będą w kioskach dziennikarskich i w biurze komitetu (pl. Maryacki 7.), oraz podczas całego obchodu. Sprzedający zaopatrzeni będą w specyalne odznaki z uwidocznioną na nich pieczęcią Związku okręgowego T. S. L. Komitet przestrzega przed zakupnem kokardek u innych osób, za które nie przyjmuje żadnej odpowiedzialności.

Na polance pod Kopcem rozpocznie się zabawa ludowa w niedzielę o 3-ciej godzinie popołudniu. Oznajmią o tem wystrzały moździerzowe celem upewnienia publiczności o odbyciu się zabawy, gdyby z powodu chwilowej niepogody okazała się jakakolwiek wątpliwość. W zabawie tej weźmie głównie udział lud okoliczny, którego tłumnego przybycia spodziewa się Komitet, rozesławszy do włościan osobne odezwy.

---

poznać trochę ten bawiący się świat. Czasami, w kółku znajomych, nie wiedziała o czem rozmawiać. Teatra, koncerta, wystawy, były jej prawie obce. Jedynem przyjemnem wspomnieniem z jej życia, jako młodej mężatki, była podróż poślubna. Podczas tej podróży przynajmniej miała męża ciągle przy sobie.

Tutaj, w tym pięknym Wiedniu, jest zawsze sama, sama. „Jak wdowa“, powiedziała raz Frania, przyjechawszy na kilka dni w odwiedziny.

Cóż więc była temu winna, że polubiła towarzystwo Windlera? Zresztą, przecież on ją tylko bawił. Ale nie powiedziała mu tego wyraźnie, we właściwym czasie i źle ją zrozumiał. A jak on zręcznie usidlił umiał to niedoświadczone, dziewietnastoletnie dziecko, które, godzinami całemi, nie wiedziało co z nudów począć.

I taka serdeczna przyjaźń zawiązała się pomiędzy nim i Lorcią, że w końcu ośmielił się prosić ją, aby zechciała raz jeden przestąpić próg jego samotnego mieszkania. Cóż w tem tak nadzwyczajnego? Raz jeden! Jego mieszkanie przedstawia nawet doskonały protekst przyjścia, ma takie piękne zbiory... I próbował na różne sposoby przekonać Lorcię. Czasem prosił tak miękko, czule, umiał wzruszonemu głosowi nadać taki rzewny dźwięk głębokiego smutku, czasem znów stawał się ironicznym sceptykiem, a to na prostą, niezepsutą naturę młodej kobiety działało wprost denerwująco. I lubiła słuchać go. Ona tak łaknęła słodkich, czułych słówek! Piotr ją kochał, ale dawno już przestał o tem mówić. Bo i kiedyż miałby czas na to?

(Dok. n.)

† Platon Kostecki.

Jak już donieśliśmy pokrótce, wczorajszej nocy zmarł w naszem mieście ś. p. Platon Kostecki, nestor dziennikarzy polskich.

Ś. p. Platon Kostecki urodził się 2. lipca 1832 w Wojkowicach pod Samborem, jako syn tamtejszego gr. kat. parocha Jana i matki Teresy z Fedorowiczów. W Zachoczewiu pod Liskiem, dokąd ojciec jego przeniesiony został, odbył nauki początkowe, a następnie do gimnazyum uczęszczał w Sanoku i Samborze. Okropne sceny bratobójczej walki i rzezi z roku 1846, na które patrzył, będąc w VI. klasie gimn., wstrząsnęły młodzieńcem do głębi i serce jego natchnęły nie żądzą krwi i pożogi, ale tem większą miłością bratniego narodu polskiego.

W roku 1848 ukończył gimnazyum, a odbywszy studya uniwersyteckie we Lwowie na wydziale prawniczym, wciągnął się w jarzmo pracy literacko-dziennikarskiej, zrozumiawszy, że na tem polu corychlej orkę rozpocząć należy. Z całym też młodzieńczym zapałem pracował w ówczesnych *Nowinach* przekształconych później na *Dziennik literacki* pod redakcyą Jana Dobrzańskiego. Ogłaszał tu liczne swoje utwory poetyckie, polskie i ruskie. Sam redagował następnie *Zorię Hałycką*, mającą zadanie zwalczania moskalofilskich wpływów osławionego później odstępcy i schyzmatyka Naumowicza.

W kilka lat później widzimy go już w szeregu stałych pracowników na niwie dziennikarskiej, w redakcyi „Przeglądu Powszechnego (1858), który w r. 1861 przekształca się na „Dziennik Polski“, pod kierunkiem Floryana Ziemiałkowskiego. Za artykuł, domagający się języka wykładowego polskiego na uniwersytecie, wytoczono Kosteckiemu proces i skazano go na 2 miesiące więzienia, które odsiadywał wspólnie z Tadeuszem Romanowiczem, Zybikiewiczem, Zygmuntem Kaczkowskim i Karolem Cieszkowskim, obwinionymi o rozmaite zbrodnie stanu. W tym czasie ogłosił Kostecki przepiękny, a rozgłośny, popularny wiersz: „Nasza mołytwa“ — który później pojawił się z innymi utworami poety w zbiorze p. t.: „Poezyi Platona Kosteckoho“ czcionkami łacińskiemi, nakładem księgarni Karola Wilda.

W sierpniu r. 1862 Kostecki przeszedł do *„Gazety Narodowej“*, której odtąd aż do ostatniej chwili życia, przez lat 46 był wiernym współpracownikiem i współredaktorem.

W r. 1888 obchodził świat literacki i dziennikarski we Lwowie 30-letni jubileusz pracy Kosteckiego na polu literackiem, a w roku ubiegłym święcił Kostecki jubileusz 45-letniej nieprzerwanej pracy w *„Gazecie Nar.“*, niestety już wyczerpany tą pracą, tą targającą nerwy czujnością na każde drgnienie narodu i społeczeństwa, pochylony wiekiem i złamany chorobą, która obecnie przecięła pasmo jego życia.

Schodzi z nim do grobu człowiek pełen prawości i cnót obywatelskich, dzielny szermierz pióra i gorący Polak, z urodzenia Rusin.

Cześć Jego pamięci.

Z ulic Warszawy.

Ulica Nowolipie w Warszawie była w tych dniach widownią krwawego zajścia, które pociągnęło za sobą kilka ofiar. W bramie garbarni Blunka, przy tej ulicy zię znajdującej, robotnik tej fabryki, 18-letni Stanisław Krawczyk, zatrzymał przechodzącego majstra fabryki, Edwarda Vogla, zapytując, czy on się nazywa Vogel. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, Krawczyk wydobył z kieszeni browning i ze słowami: „Precz do Berlina, dość już narobiliście tu szkody“, skierował w niego lufę rewolweru.

Vogel z krzykiem zaczął uciekać, wzywając pomocy. W ślad za uciekającym Krawczyk wystrzelił i zranił go w prawą nogę z uszkodzeniem kości, sam zaś wybiegł na ulicę. Zwabieni odgłosem wystrzału, przybiegli na miejsce wypadku robotnicy garbarni i rzucili się w pogoń za uciekającym Krawczykiem, za którym pogonili również dwaj stójkowi, Patiuchin i Kleszczukiewicz, strzelając do napastnika z rewolwerów. Krawczyk, nie przestając uciekać, ostrzeliwał się z browninga. Jeden ze strzałów, ugodziwszy w Patiuchina, położył go trupem na miejscu, drugim zaś wystrzałem raniony został w ramię Kleszczukiewicz.

Uciekającego w stronę ulicy Smoczej Krawczyka chciał zatrzymać jeden ze stróżów, lecz wystrzałem z browninga, który przebił odzież stróża, Krawczyk wstrzymał pogoń. Dopiero, gdy uciekającemu zabiegł drogę z obnażoną szablą rewirowy, zdołał go zatrzymać.

Przy rewizyi znaleziono u Krawczyka browning z wystrzelonym magazynem, dwa zapasowe magazyny, napełnione nabojami, 22 egzemplarzy „Pochodni“, wydawnictwa Związku robotniczego narodowego.

Policya i — miodowy miesiąc.

Policya w swojej gorliwości posuwa się czasem aż do wścibstwa. Dzięki temu wścibstwu bowiem przerwała nawet przed kilku dniami miodowe miesiące pewnej młodej parce, która przybyła do Galicyi aż z Królestwa aby ludziom zejść z oczu, a dostała się — dzięki policyi — pod klucz, gdzie już przed oczyma ludzkiemi będzie bezpieczna, gdzie jednak pozbawiono ją najcenniejszej rzeczy podczas miodowych miesięcy — wolności. A było to tak:

Jest sobie na pewnej, mocno żydami naszpikowanej ulicy, w cuchnącym zaułku skryty, niepozorny hotelik żydowski. Znajduje on się na uboczu, w zacisznem miejsu, tak, że dla osobników, chcących zejść ludziom z oczu, jest wymarzonem schronieniem.

Tam też schroniła się przed kilu dniami młoda para, przybyła z Królestwa Polskiego i zamieszkała w hotelu. Z zachowania się tej pary widać było, że chyba przeżywa miodowe miesiące, tak czułe były ich rozmowy, tak ich zawsze widywano w zgodzie

i w iście miodowej harmonii. W księdze hotelowej młoda para zapisaną była jako małżonkowie Pawłowscy z Radomia.

I byliby sobie państwo Pawłowscy najspokojniej spędzali miodowe miesiące, gdyby nie wścibstwo policyi. A juści, bo policyi zachciało się naraz przed kilku dniami zbadania legitymacyj gości w hotelu. Widocznie hotel ten nie cieszy się względami policyi. I właśnie podczas stwierdzania tych legitymacyj państwo Pawłowscy, jak się to mówi „dostali się“. Mianowicie pani Pawłowska nie miała potrzebnych papierów, a przy badaniu zaczęła coś kręcić, tak, że policya nie uważając na miodowe miesiące, zabrała pp. Pawłowskich z hotelu do swoich apartamentów.

I cóż się okazało? Oto, że pp. Pawłowcy nie byli małżeństwem, ba, mieli nawet paskudną rzecz na sumieniu. Policya przekonała się bowiem, że Pawłowski, który już od lat 11 jest żonaty i ma z żoną troje dzieci, uciekł od żony, ale zabrał ze sobą — siostrę żony, dziewczynę znacznie od swej żony młodszą i przystojną. Z nią nawiązał stosunki miłosne, a że mu nie było dobrze stosunki te utrzymywać wobec żony, uciekł z nią z Radomia, pozostawiając tam żonę i dzieci. Nie zostawił ich bez opieki i utrzymania, bo miał tam sklep, który obecnie prowadzi. Zakochana para miała zamiar wyjechać do Ameryki, na co miała nawet potrzebne fundusze, bo przy Pawłowskim znaleziono 1500 rubli w gotówce. No, i gdyby nie to wścibstwo policyi, byliby sobie pojechali, a tak — rozdzielono ich i zatrzymano, dopóki cała sprawa nie „wyklaruje“.

Na zakończenie opisu tej afery dodać jeszcze musimy dla ścisłości, że wydarzyła się ona w Krakowie na Kaźmierzu, ale to już drobnostka, którą notujemy tylko dla uspokojenia sumienia naszego reportera, który gotówby jeszcze powyrywać sobie włosy z głowy, że stała się we Lwowie rzecz, o której on nic nie wie.

Na tropie zbrodni.

Z szybkością błyskawicy rozszerzyła się wczoraj popołudniu po całem mieście wieść nieprawdopodobna a jednak prawdziwa, iż w tutejszym urzędzie celnym, gdzie wszystkie przesyłki kolejowe i pocztowe, jakie nadchodzą z zagranicy, poddawane są badaniu celem stwierdzenia, czy rzeczywiście zawierają to, co podano w przekazie, znaleziono

zwłoki noworodka w przesyłce pocztowej

nadeszłej z zagranicy, a mianowicie z Bremy.

Przesyłką tą była najzwyklejsza skrzynka drewniana, jakiej używa się do transportu margaryny w pięciokilowych ilościach, rzekomo zawierająca szkło. Tymczasem po otwarciu jej znaleziono zwłoki noworodka płci męskiej, owinięte w kawałek zwykłego płótna białego i

list,

w którym nadawczyni tej tajemniczej przesyłki oświadcza, iż zwłoki dziecięcia wysłała z polecenia matki, która rzekomo już nie żyje po to, by pochowano je na cmentarzu katolickim, gdyż w Bremie są tylko cmentarze ewangielickie.

List ten napisany był na kartce zwykłego papieru, po polsku, pismem niewyrobionem i nieortograficznem.

Przesyłka wysłana została w dniu 24. ubiegłego miesiąca, przez nadawczynię, która jak wnioskować można z nazwiska jej, umieszczonego na przekazie, pod rubryką nadawcy, jest Polką, adresowaną zaś jest do pewnej osoby, mieszkającej we Lwowie.

Oczywista, iż urząd cłowy zawiadomił natychmiast o tem tak tajemniczem odkryciu policyę, która natychmiast wdrożyła dochodzenia.

Śledztwo prowadzi r. Kreiner,

szef biura bezpieczeństwa, który natychmiast po zawiadomieniu go o tem odkryciu udał się na miejsce.

Na razie śledztwo otacza tajemnica.

Stwierdzono tylko dwie rzeczy. Dziecko przyszło na świat bezwarunkowo żywe. Ponieważ nie znaleziono

na zwłokach żadnych obrażeń zewnętrznych,

poddane zostaną obdukcyi, celem zbadania istotnej przyczyny śmierci noworodka.

Stwierdzono również iż

adres jest sfingowany,

albowiem wymieniona w nim osoba, przy tej ulicy jaką podano, nie mieszka, z tej prostej przyczyny, że przy ulicy tej nie ma kamienicy o tej liczbie oryentacyjnej, jaką podano w adresie.

Kronika.

Kalendarzyk:

Dziś: Zygmunta — Joana W.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

W sobotę popoł. o 3-ciej „Kościuszko pod Racławicami“.

Wieczór o pół do 8-mej „Mignon“.

Związek ziemian. W sali Tow. kredytowego ukonstytuował się wczoraj „Związek ziemian“. Celem jego jest utrzymanie i rozwój średniej i większej własności ziemskiej przez udzielanie członkom swym pomocy pod względem prawnym, administracyjnym i finansowym, a więc pośredniczenie w uzyskaniu kredytu albo udzielanie tegoż z funduszów własnych, dla podniesienia stanu gospodarstw, organizacya gospodarstw w zarządzie własnym członków będących, interwencya przy wydzierżawianiu majątków, pośredniczenie w transakcyach majątkowych członków Związku, przy działach familijnych i t d. Związek znalazł oparcie o Towarzystwo kredytowe ziemskie, które przystępuje do Związku z udziałami na kwotę 500.000 koron i lokuje w tem stowarzyszeniu drugie pół miliona.

Tragiczna śmierć małżonków. Onegdaj o godz. 6 wieczorem umarł na udar serca ślusarz kolejowy Antoni Woźniak w 40 r. życia, zamieszkały przy ul. Michała Rahozy l. 3. Śmierć nagła tak przeraziła 37-letnią żonę jego, Helenę, że zachorowała, a w 5 godzin później umarła.

Ś. p. Woźniakowie osierocili czworo nieletnich dzieci.

Samobójstwo akademika. Wczoraj rano odebrał sobie życie przez powieszenie młody akademik W. S., zamieszkały w domu matki swej przy ul. Długosza l. 37. Denat, korzystając z nieobecności rodziny, powiesił się na sznurze, umocowanym do haka od lampy. Gdy rodzina około godz. pół do 12 wróciła do domu, zastała już martwe zwłoki, a wszelki ratunek lekarzy okazał się bezskuteczny. Powodem rozpaczliwego kroku był rozstrój nerwowy.

Nagabywanie przechodniów. Na niektórych ulicach naszego miasta, mianowicie tych, które obfitują w sklepy żydowskie zagnieździł się małomiasteczkowy zwyczaj nagabywania przechodniów przez sklepowe żydóweczki i zachwalania towarów firm, w których usługach pozostają. Tego rodzaju jednaniem klienteli posługują się zazwyczaj sklepy konfekcyi damskiej, mające najgorszą tandetę; agitacya zaś panien sklepowych dochodzi nieraz do chwytania przechodzących kobiet za rękawy i wciągania do sklepu. Przykro jest patrzeć, jak upatrzona przez sklepówki „ofiara“ przechodzi z rąk do rąk wśród gwałtownego potoku słów reklamowych, aż nareszcie da się wciągnąć do sklepu i tutaj dalej tym samym systemem nakłanianą bywa do nabycia towaru. Czyhające w ten sposób na „ofiary“ panny sklepowe zalegają sienie, stają przed wystawami, tamują ruch przy nagabywaniu przechodniów, a mimo to odpowiednie organa magistrackie patrzą cierpliwie na podobne nadużycia, będące nie tylko przekroczeniem porządku, ale przynoszące szkodę porządnym firmom, nie ciągnącym przechodniów za rękawy do swych sklepów. Podobne manipulacye powinne być stanowczo zakazane; niepraktykowane są one w żadnem większem mieście, a używane tylko gdzieś w zapadłych kątach podczas jarmarków. Zauważono, że owe panny sklepowe grasują nawet w niedzielę po południu, chociaż sprzedaż w tym czasie jest ustawowo wzbroniona.

Siczyńskij i Berlin. Ks. Leopold Lenard znany słoweński działacz, nadesłał redakcyi warszawskiego *Słowa* notatkę rzucającą ciekawe światło na tajemne nici, łączące ukrainizm z... Berlinem.

„Przypominam sobie — pisze ks. Lenard — że znałem jakiegoś pana Siczyńskiego — nie wiem, czy zabójcę namiestnika Potockiego, czy jego brata — który był wtedy prezesem rusińskiego akademickiego stowarzyszenia „Akademiczeska Hromada“ we Lwowie. Na mnie zrobił on wrażenie człowieka energicznego i świadomego swoich celów, który miał duży wpływ między swoimi i umiał w karbie trzymać radykalniejszych i mniej rozważnych członków towarzystwa — i ich powstrzymywać od nieobmyślanych i nieprzygotowanych kroków.

„Raz zauważyłem, że prezesa „Hromady“, p. Siczyńskiego; już od kilku dni nie widziałem, jak zwykle — i przypadkowo zapytałem się jednego z jego kolegów, gdzie on przebywa. Otrzymałem odpowiedź, że pojechał w interesie do Berlina i wkrótce wróci. W pamięci mej utkwiła jeszcze sarkastycznie uśmiechnięta dyplomatyczna twarz odpowiadającego. Drugiego dnia po jego powrocie, zrobili studenci-członkowie „Akademiczeskoi Hromady“, awanturę w uniwersytecie — i obrzucili zgniłemi jajkami ówczesnego rektora, ks. dra Fijałka.

„Koincydencya owych faktów, utkwiła mi żywo w pamięci, bo była pierwszą przyczyną, że się zacząłem krytycznie patrzeć na stosunki polsko-rusińskie. Było to w czasie mojego pierwszego spotkania się z Polakami i Rusinami“.

Niebezpieczni włamywacze pod kluczem. Agentowi policyi, Kurantowi, udało się wczoraj przytrzymać bandę włamywaczów, złożoną z pięciu złodziei, którzy mimo dość młodego wieku, zdołali się zapisać w pamięci policyi bardzo niepochlebnie. Oto przechodząc wczoraj przedpołudniem ul. Jabłonowskich spostrzegł trzech podejrzanie wyglądających młodzieńców, oglądających z niezwykłą uwagą kosztowności. Czempredzej więc pospieszył Kurant na po-

bliską strażnicę policyjną przy ul. św. Zofii i wziąwszy ztamtąd trzech żołnierzy policyjnych powrócił z nimi na ulicę Jabłonowskich by aresztować ową tajemniczą trójkę. Aresztowanie powiodło się. Po sprowadzeniu trzech ptaszków na inspekcyę policyjną, poddano ich rewizyi, która dała niespodziewany wynik. Znaleziono bowiem przy nich znaczną ilość kosztowności, pochodzących jak się później aresztowani przyznali, z kradzieży na szkodę p. Maryi Maisnerowej, mieszkającej przy ul. Zielonej l. 3. Kradzież tę popełnili co tylko przed aresztowaniem. Nadto znaleziono przy nich jeszcze kosztowności, pochodzące z trzech nowych kradzieży. Hersztem tej bandy był Ignacy Gwizdała, malarz pokojowy, a należeli do niej Michał Biłyk, czeladnik szewski, Józef Olhanduszko monter, oraz później aresztowani Jan Rebij pomocnik murarski i Jan Baranowicz betoniarz.

Żydowsko socyalistyczne „święto robotnicze“ zrobiło we Lwowie kompletne fiasko i skompromitowało ogromnie jego aranżerów. Tak marnego pochodu demonstracyjnego, jak wczorajszy, powstydzonoby się nawet w jakim Kulikowie. Choć socyaliści wrzeszczą, że mają za sobą tysiące „uświadomionych towarzyszy“, potrafili skaptować ich wczoraj zaledwie kilkuset do pochodu i na zgromadzenie na placu Gosiewskiego. Dodać jednak trzeba jeszcze, że wśród tych „uświadomionych towarzyszy“ była mała tylko garstka robotników, gdyż resztę stanowili paupry uliczni, przynoszący sprawie robotniczej akurat taką barwę, jak parchy synom Izraela.

Jednem słowem nie udał się panom socyałom „pierwszy maja“, a wściekłość ich z tego powodu zrozumieć łatwo, gdy się zważy, że przygotowywali się tak na pewniaka, iż „święto robotnicze“ podreperuje ich kabzy krwawym groszem robotniczym. Tymczasem robotnicy zmądrzeli i dali poznać wczoraj najlepiej, te nie myślą dłużej dać się wyzyskiwać panom Diamandom, Hudecom, Hankiewiczom, Czakim i innym żydom i półżydom.

W ogóle socyaliści nie mieli szczęścia do tegorocznego „pierwszego maja“, gdyż, jak donoszą z rozmaitych stron, wszędzie obchód ten wypadł bardzo marnie.

Śmierć pod kołami pociągu. Onegdaj rano pociąg pospieszny, dążący ze Lwowa do Krakowa, w okolicy Dębicy, przejechał dwóch budników kolejowych. Jeden z budników poniósł śmierć na miejscu. Koła lokomotywy odcięły mu głowę i obie nogi. Drugi budnik, nazwiskiem Maciej Małek, wyszedł wprost w niebywały sposób z niebezpieczeństwa z życiem. Lokomotywa, uderzając go, odrzuciła na kilka metrów, że jednak upadł na miękką murawę, straszny upadek nie pozbawił go życia. Stan jego budzi jednak poważne obawy, gdyż ma złamanych kilka żeber i liczne kontuzye na całem ciele.

Żywcem spalona. W czwartek rano wybuchł ogień pokojowy w domu przy ulicy Morgensterna w Krakowie, a równocześnie wezwano pogotowie ratunkowe do poparzonego dziecka. Po przybyciu zastało pogotowie ratunkowe 12-letnią dziewczynę, Helenę Czechównę, córkę konduktora kolejowego, zamieszkałego w tym domu w stanie bezprzytomnym z powodu śmiertelnego oparzenia. W nocy mianowicie z niewiadomej dotychczas przyczyny zajął się płomieniem tapczan, na którym dziewczyna spała i we śnie byłaby zginęła, gdyby nie sąsiedzi, którzy widząc dym i płomienie, pożar ugasili. Pogotowie, po zastosowaniu środków, przewiozło nieszczęśliwą do szpitala św. Łazarza. Stan jej jest beznadziejny, gdyż ma całe ciało niezwykle ciężko poparzone, miejscami zwęglone.

Charakterystyczna scena rozegrała się przed domem, gdzie oparzona mieszkała, w czasie interwencyi pogotowia. Mianowicie wieść o strasznym wypadku zgromadziła tłumy sąsiadów, którzy przybrali groźną postawę wobec matki nieszczęśliwej ofiary, winiąc ją o spowodowanie zapalenia tapczana. W sprawie tej policya wdrożyła dochodzenia.

Samobójstwo, czy wypadek? Dnia 28. z. m. znaleziono w Czerniowcach, w rzece Prucie, obok szkoły, na przedmieściu czerniowieckiem Kaliczance, zwłoki włościanina ze Starej Żuczki, Ilka Dowbaniuka, liczącego 40 lat. Jak komisya skonstatowała, zwłoki leżały już cztery dni w wodzie. Nie wiadomo, czy zachodzi tu wypadek, czy samobójstwo.

Miasto na drzewach. W amerykańskiej Kanadzie, w samem sercu bezgranicznego dziewiczego lasu, który liczy szerokości 200, a długości 400 mil, ciągnącego się między jeziorami Wyższem i Winnipeg, znajduje się całe miasto zbudowane i rozpostarte na drzewach. To ciekawe miasto, mające poetyczną nazwę Nest-City czyli Miasto-Gniazdo, liczy obecnie przeszło 3 tysiące mieszkańców, zajmujących 500 domów drewnianych, niby ptasie gniazda przytwierdzonych do drzewa, ukrytych i zawieszonych wśród liściastych konarów olbrzymiach drzew, na wysokości 6 lub 7 metrów. Wielkie pnie staro-drzewów stanowią niby rodzaj słupów, na których opierają się domy, czem wielce ułatwiają zbudowanie tego oryginalnego miasta. Pod tym względem Nest-City można porównać do pewnego rodzaju wiszącej Wenecyi. Każdy domek, opierający się na jednym lub kilku pniach, połączony jest ze swoim sąsiadem wiszącym mostem z drzewa i całą siecią długich korytarzy, tarasów oraz balkonów.

Wybuch na okręcie. Z Tokio donoszą, że okręt japoński „Matsumaru“ zatonął wskutek eksplozyi amunicyi. 141 osób, między innemi kilku oficerów, z załogi, wynoszącej 400 ludzi, uratowano. Na okręcie znajdowało się 58 kadetów, między nimi synowie marszałka Oyamy, których dotychczas brak. Prawdopodobnie utonęli. Liczba osób, które utonęły, wynosi około 160.

W. M. DOROSZEWICZ.

HACZYK.

(Humoreska z rosyjskiego).

Zebrała się nas nie duża kompania, sami mężczyźni, dlatego mówiliśmy wyłącznie o kobietach. Odmawialiśmy im rozumie się wszystkiego : zdolności kochania, nienawidzenia sprawiedliwie, poprostu uczuć, nawet, zdaje się, posiadania samej duszy.

— Ale przecież muszą posiadać coś, te stworzenia, których zaprzecza się wszystkiego!

— One mają głupie nawyczki.

— I dziwactwa.

— Jedynie!

X. opowiadał o dziwnej manii swojej żony do strusich piór. Ma ich milion, mimo to nie może zobaczyć ładnego strusiego pióra, by go natychmiast nie kupić.

— Nie uwierzylibyście ile tego jest u nas! Gdy widzę ich kolekcyę, to się na śmierć zaśmiewam. Zdaje mi się że wszystkie strusie w Afryce chodzą kuse. Wszystkie je oskubano dla mojej żony.

— Żona pana U. dotknięta jest manią mniej rujnującą: ma namiętność do szpilek.

— Nie do tych „szpilek“, któremi kobiety lubią częstować dobre przyjaciółki — to byłoby zrozumiałe! Ale do najzwyklejszych metalowych szpilek. Założone są niemi wszystkie stoliki, wszystkie etażerki, szuflady komód, nawet szuflady w biurku pana U.

— Ja myślę, że jakiś angielski fabrykant po prostu istnieje na nasz rachunek. My go utrzymujemy!

Pan U. widocznie całe życie „siedział jak na szpilkach“. Bierze papiery — z jakiejś „najwajważniejszej „sprawy“ wylatuje paczka szpilek; częstuje przyjaciela cygarem — ten się zanosi od śmiechu, bo w pudełku pomieszane z cygarami leżą paczki szpilek!

— To poprostu mania. Pani U. gubi szpilki setkami, a kupuje tysiącami.

— Znowu moja żoa ma jeszcze dziwniejszą manię! — odezwał się pan Z. — Wyobraźcie sobie, że ma namiętność do... haczyków do zapinania bucików! Prawda, że szczególne? Każda kobieta ma jeden, dwa, no, w ostateczności trzy haczyki do zapinania bucików, bo przecież kobieta ostatecznie ma tylko dwie nogi! A oto moja żona ma... nie, z pewnością mi nie dacie wiary, ile ona ma haczyków. Nie może wyść z domu, żeby nie wstąpić i nie kupić sobie nowego haczyka do zapinania bucików.

— Tak, tak. To już prawdziwa mania!

— Choroba, przyznacie.

— Ja sądzę, że to wystąpiło po pierwszem dziecku.

— Uważacie, to tak bywa niekiedy u kobiet.

— Miewają takie psychiczne dziwactwa.

— Nie; Nie! Nie mówcie tak! Kto zna tak, jak ja, kobiety, nie myli się! Przedtem tego nie zauważyłem. Dopiero w drugim roku małżeńskiego pożycia, gdy tylko wyszła z domu, po jej powrocie na pewne znajdował się nowy haczyk do bucików. Z początku bardzo bywała tem zażenowana, gdym podnosił z ziemi haczyk, który przypadkiem upuściła, rozbierając się. Ja to pojmuję! Wstydziła się swojej śmiesznej manii, Ale potem przyzwyczaiła się. Ile razy wracała, zapytywałem ją zwykle:

— No, duszeczko, pokaż no mi twój nowy haczyk do bucików!

Ona też najspokojniej wydostaje z kieszeni nowy haczyk.

Jeżeli wraca do domu podczas mojej nieobecności, to ja umyślnie, żeby się uśmiać, pytam pokojówki:

— W jakiej sukni pani dzisiaj wychodziła z domu?

I napewno znajduję w kieszeni nowy haczyk. Ha! Ha! Ha! Prawda, że zabawne?

A wiecie panowie, jaką niespodziankę urządziłem jej na urodziny?

Kupiłem jej pięćdziesiąt haczyków do bucików. Ha, ha, ha! Ha, ha, ha!

Nie licząc tych pięćdziesięciu, n amy w domu 216 haczyków. W półtora roku 216 haczyków, Jak wam się to podoba?

-- To rzeczywiście nader zabawne! — zauważył wstając p. M. — Ale zdaje mi się, że nam już czas iść!

Wszyscy uznaliśmy to za słuszne. Wyszliśmy pierwsi, ja i pan W.

On widocznie był źle usposobiony po pogawędce.

— Te osły... mówię o mężach — te osły warci są tego, aby ich powywieszać na haczykach od bucików ich żon.

— Dlaczegoż aż tak?

— Ta pani Z., to szczególniej roztargniona osoba, trzeba jej oddać całą sprawiedliwość. Na każdą schadzkę trzeba kupić dla niej nowy haczyk, by mieć jej czem pozapinać buciki. I za każdym razem znowu z roztargnienia chowa ten nowy haczyk do kieszeni.

Pan W. zrobił gest niezadowolenia.

— Ja, pal tam dyabli, ale kupiłem jej w ten sposób już 112 haczyków! Lecz radbym wiedzieć, skąd wzięła się reszta owych sto cztery?

— Mój przyjacielu, oszukuję cię — krzyknąłem — bo i ja jej ofiarowałem w tenże sam sposób 76 haczyków.

W tej chwili dogonił nas pan Z. Ciągle jeszcze był w niedoskonałym humorze.

— Cóż, jakże wam się podoba ta mania mojej żony? Dzisiaj poszedłem tutaj. Żona poszła gdzieś do znajomych. Ale po drodze to ona na pewnika wstąpi do magazynu... chcecie się założyć, że przyniesie sobie nowy haczyk? Ha, ha, ha! Koniec końcem, ja, zdaje się, otworzę magazyn z haczykami do bucików.

— Koniec końcem ty, zdaje się, otworzysz magazyn wyrobów rogowych! — zamruczał pan W., ale tak, że oprócz mnie nikt tego nie dosłyszał.

— Tak, kobiety mają dziwactwa!

List reportera.

(Jak święciłem 1-go Maja i jakie zanotowałem sobie wrażenia).

Świętowałem wczoraj uczciwie i nawet trzymałem na placu Gosiewskiego do jednej towarzyszki mowę na temat 8 godzinnego dnia pracy, co jej atoli mało trafiło do przekonania, albowiem jak mi wyznała, ona pracuje przeważnie wieczorami, a w dzień sylabizuje na głos *Głos* ze szczególnem uwzględnieniem rubryk „Kradzieże“. Szuka tam bowiem opisów romantycznych przygód pewnego Alfonsa Nożowskiego, który od czasu do czasu podejmuje śmiałe wyprawy bądź to w górne regiony strychów 3-go piętra, bądź w podziemia piwnic lwowskich, przyczem najmocniejsze zamki i kłódki nie stanowią żadnej dla niego przeszkody.

Zauważyłem, że takich mowców jak ja było na placu więcej, i mieli też takie same słuchaczki, a zresztą plac wyglądał dość pustawo i łysawo tak jak n. p. kolano dyrektora Hudeca. Nie porównałem pustki, panującej wczoraj na placu z łysiną tego towarzysza, bo on jeszcze na niej ma coś takiego, co imituje parę włosów, które mu Opatrzność widocznie na to tam pozostawiła, aby stawały ze strachu, kiedy mu się przyśni, że komisya z namiestnictwa bada książki Kasy chorych, albo że dostał wezwanie, na którem jakiś nieczytelnie podpisany sędzia śledczy, zaprasza go na poufną konferencyę w sprawie sanacyi finansów kasowych.

Co do innych punktów programu wczorajszego, muszę nadmienić, że przedstawienie w teatrze „dla robotników“ zupełnie chybiło. Bardzo wielu towarzyszów nie poszło do teatru, ze względów zasadniczych.

Przedewszystkiem dlatego, że sztukę (Śluby panieńskie) napisał jakiś hrabia Frebro, a więc człowiek z tej kasty bez sumienia, czci i wiary (n. b. socyalistycznej), którą bez litości bojkotować należy.

Innym znowu nie podobał się sam tytuł sztuki „Śluby“ a woleliby zobaczyć np. *Śruby panieńskie*. Przyznam się, że i ja byłbym ciekaw zobaczyć coś takiego, bo że to są bardzo zabawne i figlarne kawałki, o tem mnie także na placu Gosiewskiego z ust wielce wiarygodnych zapewniano solennie. No, ale nic straconego. Mam nadzieję, że jak tow. Nacher zostanie dyrektorem teatru miejskiego, zobaczymy i te śruby na scenie, a rolę Anielki i Klarki to pewnie odtworzą pp. Schupp i Miłowska, które są do tego jakby umyślnie stworzone. *Wasz reporter.*

Humor i satyra.

Ten ma kepełe. (Autentyczne).

Przed sądem powiatowym we Lwowie stawał pewien handlarz żydek, oskarżony, iż u siebie w sklepie sprzedawał jakieś artykuły chemiczne fałszowane. Jako znawca sądowy miał być przesłuchany profesor chemii dr. X.

Sędzia zapytuje żydka, czy poczuwa się do winy.

— Nie — odpowiada żydek.

— Jakto nie? — pyta sędzia — a cóż to pan nie wiedziałeś, że to jest oszustwem sprzedawać fałszowane chemikalia?

— Ny, proszy pana sendzi, ja prosze o pozwolenie zadania mi jedno pitanie. Czi pan sendźa sze zna na chemie?

— Nie, ale za to pan znawca...

— Za pozwoleniem panu sędźemu. — Tu zwraca się żydek do znawcy chemika: — Za pozwoleniem pana znawcy, czi pan znawca zna si na prawie?

— Nie! odpowiada zagadnięty znawca. Ja jestem tylko profesorąm chemii, a nie sędzią.

— Nu, patrzcie panowie — odzywa się uśmiechnięty żydek. — Takie dwa uczone osoby. Ten pan jest profesor od chemii, a niema pojęcie o prawie, a pan sędzia jest sędzią i niema pojęcie o chemie. A odemnie bidnego źidka to pan sędzia wimaga, cobim ja znał i chemie i prawo!

Bohaterski czyn czeladnika kominiarskiego.

(Do ryciny).

W Sztokholmie, w Szwecyi zdarzył się następujący wypadek. Czeladnik kominiarski August Lindberg przybył w towarzystwie chłopca kominiarskiego do domu, w którym mieści się teatr rozmaitości, celem wyczyszczenia kominów. Lindberg został na dole, a chłopak wszedł na dach, aby wleźć do komina. Zamiast do komina głównego, wlazł on do komina odprowadzającego dym od palenisk kotłów maszynowych, mieszczących się w suterynach domu.

Pod kotłami paliło się, a wskutek tego w kominie było silne gorąco. Gdy chłopak niedawał czeladnikowi umówionego znaku do rozpoczęcia roboty, wyszedł ten ostatni na dach, a przekonawszy się o zaszłej pomyłce i domyślając się, że chłopak wskutek gorąca stracił świadomość siebie, wszedł sam do owego komina celem udzielenia pomocy chłopcu. Chłopak uczepił się jego nóg i byliby obaj się udusili, gdyby nie przytomność umysłu czeladnika, który siłą uwolnił się z rąk chłopca, wylazł z powrotem na dach i pobiegł na dół. Oderwał płytę żelazną dolnego otworu komina i przedostawszy się z narażeniem życia przez płomienie wydobywające się z palenisk kotłowych, dotarł do chłopca i zemdlałego już na własnych barkach wydobył na wierzch.

Na dachu byli ludzie, którzy pomogli czeladnikowi do wydobycia się. Ubranie na nim tlało a ręce i głowę miał osmalone. Obu odwieziono do szpitala. Zą ten czyn bohaterski, król szwedzki przyznał Lindbergowi złoty medal zasługi. Rycina nasza przedstawia chwilę bohaterskiego ratunku i podobiznę bohaterskiego czeladnika.

Wiadomości telegraficzne

„Gońca Polskiego“.

† Minister Peschka.

Wiedeń. Pogrzeb zmarłego ministra ro daka niemieckiego, odbędzie się w niedzielę o 3 popołudniu. Zwłoki przewiezione zostaną osobnym pociągiem do Absdorfu, gdzie pogrzeb odbędzie się w poniedziałek.

Wiadomość o śmierci Peschki wywołała w kołach polskich żywe współczucie, którego wyrazem są kondolencye i wieńce.

Jako następców śp. ministra Peschki w pierwszym rzędzie wymieniają posła dr. Schreinera, przewodniczącego niemieckiego oddziału krajowej Rady kulturnej w Czechach. Obok niego wymieniają p. Tanna, nieznanego w szerszych kołach politycznych, przewodniczącego Klubu agraryuszy niemieckich.

Wymieniają także nazwiska pp. Pergelta i Pradego, ale kandydatury te nie mają widoku dlatego, że agraryusze niemieccy obstają przytem, aby minister rodak powołany został z ich grona.

Bojkot uniwersytetu.

Zagrzeb. Wskutek groźby strejku ze strony studentów zamknięto uniwersytet na miesiąc maj. W odpowiedzi na to studenci w liczbie 800 odbyli wczoraj zgromadzenie i uchwalili uniwersytet stale bojkotować.

Napad bandytów na pociąg.

Pittsburg. (Stany Zjednoczone Pennsylwania). Na pociąg ekspresowy Nowy Jork, Saint-Louis (Missouri) kolei Pennsylwańskiej jeden z najważniejszych i najszybszych pociągów, który wozi zazwyczaj wielkie sumy pieniężne z Nowego Jorku do miast zachodnich, napadli bandyci. Związali oni urzędnika pocztowego, zatkali mu usta i zapomocą sygnałów alarmowych, spowodowali zatrzymanie pociągu, poczem, zabrawszy 4 worki z pieniędzmi, wyskoczyli. Wysokość zrabowanej sumy nie jest jeszcze wiadoma.

Katastrofa na morzu.

Melbourne. Donoszą z Broome (w Australii zachodniej), że 19 łodzi z flotyli do połowu pereł zatonęło, przyczem pięćdziesiąt kilka osób utraciło życie.

Z nad granicy persko-rosyjsko-tureckiej.

Petersburg. Z Urmii donoszą, że napady kurdów na okoliczne wsie trwają dalej. Okolica Urmii jest zupełnie spustoszona. Lud wiejski pouciekał do miasta. Ruch handlowy z Rosyą ustał. Ceny środków żywności podskoczyły w dwójnasób.

Ofiara szulerki.

Paryż. *Matin* donosi, że japoński major Giro, który miał z polecenia swego rządu poczynić znaczne zamówienia we Francyi, ale pieniądze, na to przeznaczone, przegrał w jednym z klubów, utopił się w Sekwanie.

Pociągi kolejowe
od dnia 1. maja 1907. r.

Ze Lwowa odchodzą do	rano	prz. p.	popoł.	wiecz.	noc
Krakowa ...	3·45	8·25*	2·45*	7·05*	11·00
„	—	8·40	6·15	7 20	12·45*
Rzeszowa ..	—	—	4·05	—	—
Podwołoczysk ...	6·20	10·45	2·17*	7·00	11·45
Czerniowiec.	6·10	9·20	1·55*	—	10 40
„	—	—	—	—	2·51*
Stanisławowa ...	—	—	—	5 50	—
Kołomyi....	—	—	2·35	—	—
Stryja	7·30	—	2·26	6 25	11 30
Pustomyt...	7·30	—	2·26	6·25	11·30
Sambora ...	6 00	9·05	4 30	—	10 51
Lubienia....	6·00	9·05	2·10†	4·30	10 51
Rawy ruskiej	6·12	11·05	—	7·10	11·35†
Janowa.....	6·58	9·15	1·35†	3 35	6·30
Brzuchowic.	6·12	11·05	2·28	5·45	8.34†
„	9·06†	12·41†	3·45	7·10	11·35†
Zimnej wody	3·45	8 40	4·05	7·20	11·00

Do Lwowa przychodzą z	rano	prz. p.	popoł.	wiecz.	noc
Krakowa ...	5.50	8·55*	1·30*	5·25	9.50
„	7·25	9·45	—	8·40*	2.31*
Rzeszowa ..	—	—	1·10	—	—
Podwołoczysk ...	7·20	12·00	2·16*	5·40	10·30
Czerniowiec	8·05	—	2·25*	—	9·00
„	—	—	3·55	—	12·20*
Stanisławowa ...	5·55	—	—	—	—
Kołomyi ...	—	10·05	—	—	—
Stryja	7·29	11·50	3·51	—	10·50
Pustomyt ...	7·29	11·50	3·51	—	10·50
Sambora....	8·00	10·30	1 55	—	9·20
Lubienia....	8·00	10·30	1·55	9·20	11·50†
Rawy ruskiej	7·10	12·40	4·50	—	—
Janowa.....	8·22	1·15	5 00	9·25	10·10†
Brzuchowic.	7·10	12 40	1·46†	4·50	8·20
„	10 05†	—	3·25	5·30	9·35†
Zimnej wody	5·50	7·25	1·10	5·25	9·50

Pociągi pospieszne oznaczone *; kursują tylko w niedzielę i święta †.

WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: IGNACY GŁOWACKI. Z DRUKARNI „UDZIAŁOWEJ", KOPERNIKA 20.